



Harlequin®

Romans  
Historyczny



GAYLE  
WILSON

Cygańska księżniczka

Intrygi i tajemnice

Gayle Wilson

# Cygańska księżniczka

Tłumaczyła  
Agnieszka Piotrowska-Sosnowska

Tytuł oryginału: Claiming the Forbidden Bride

Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Limited, 2010

Redaktor serii: Barbara Syczewska-Olszewska

Opracowanie redakcyjne: Barbara Syczewska-Olszewska

Korekta: Jolanta Spodar

© 2010 by Mona Gay Thomas

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.  
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin i znak serii Harlequin Romans Historyczny są zastrzeżone.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.  
00-975 Warszawa, ul. Starościańska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTeX<sup>®</sup>, Warszawa

ISBN 978-83-238-8319-7

ROMANS HISTORYCZNY – 334

## Prolog

*Wrzesień 1814 roku, Anglia*

Patrząc na swoje odbicie w lustrze, Rhys Morgan, były major 13. Pułku Kawalerii odruchowo uniósł lewą rękę, żeby podtrzymać prawą dłoń i poprawić zawiły węzeł fularu. Przeszył go dotkliwy ból. Wciąż odczuwał skutki lat spędzonych na Półwyspie Iberyjskim. To cud, że przy tak poważnych ranach, spowodowanych wybuchem kartacza, chirurgom udało się uratować jego lewą rękę. Oczywiście nie była w pełni sprawna i Rhys Morgan uświadomił sobie, że nigdy nie będzie.

Najważniejsze, że przeżył i udało mu się wrócić do Anglii.

Tym razem użył tylko prawej ręki, żeby wygładzić zmarszczkę na surducie. Ubrania, które zostawił w Anglii przed wyjazdem na wojnę, nie nadawały się do noszenia ani do przeróbki. Przez minione cztery lata zmieniła mu się figura: zmężniał i jednocześnie zeszczupłał. Z przedwojennej garderoby ocalały jedynie wysokie skórzane buty.

Gotowe ubrania były niemodne i uszyte z nie

najlepszych materiałów, ale zupełnie wystarczały na podróż. Rhys obiecał bratu, że jak tylko dotrze do Londynu, uda się do jednego z najbardziej znanych londyńskich krawców.

– Jak wyglądam? – spytał, gdy ujrzał w lustrze sylwetkę brata.

– Świetnie – odparł Edward. – Przynajmniej do czasu wizyty u londyńskiego krawca.

– Jeśli Keddinton nie zatrzaśnie mi drzwi przed nosem, będzie to twoja zasługa.

– Nie zrobi tego. Jest twoim ojcem chrzestnym.

– Nie widział mnie od ponad pięciu lat.

– To nieistotne. Keddinton zna swoje obowiązki. Kilka dni nie zrobi różnicy – orzekł Edward.

– O ile nie zmieni się pogoda. Jesienią jest nieprzewidywalna.

– Tym bardziej powinienesz...

Rhys roześmiał się i odwrócił do brata.

– Jeśli jeszcze jeden dzień spędzę przy ciepłym kominku, to najpewniej oszaleję. Chyba nie chcesz mieć mnie na sumieniu.

– Bardzo dużo zrobiłeś dla Angli i króla.

– Podczas służby wojskowej byłem w wielu krajach. Większość z nich będzie miała granice na nowo ustalone w Wiedniu.

– Nie możesz oczekiwać, że Keddinton...

– Byłbyś zaskoczony, gdybyś wiedział, jak niewiele oczekuję – przerwał mu Rhys. – Uważam jedynie, że zdobyte przez mnie doświadczenie może się przydać.

W ciągu ostatniego miesiąca bracia wciąż wracali do tego tematu, lecz nie osiągnęli porozumienia.

– Możesz się przydać tutaj.

Rhys położył dłoń na ramieniu brata.

– Gdybym naprawdę był tu potrzebny, z pewnością bym został. Przecież zdajesz sobie sprawę z tego, że tylko wchodziłbym w drogę twojemu zarządcy.

– Nic mi nie jesteś winien.

Starszy o dziesięć lat Edward zachowywał niemal taki sam dystans, jak ich ojciec. Rhys nie wątpił, że obaj się o niego niepokoiili, ale okazywanie uczuć było im obce.

– Wybacz, ale nie mogę się z tobą zgodzić – powiedział. – Oboje z Abigail nie tylko mnie przygarnęliście, ale też troszczyłeś się o mnie, jakbym...

Rhys zawahał się, szukając odpowiednich słów, które wyraziłyby jego wdzięczność, nie wprawiając Edwarda w zakłopotanie.

– Jakbyś był moim bratem? Pozwól sobie przypomnieć, że moim jedynym bratem. Muszę przyznać, że niechętnie pozwalałam ci wyjechać.

– Udało mi się przeżyć na wojnie, myślę więc, że dotrę do Londynu bez przeszkód.

– Samotnie, i w dodatku konno – podkreślił z dezaprobatą Edward.

– Mówiąc szczerze, nie mogę się doczekać tej podróży.

To była prawda. Był ogromnie wdzięczny, że rodzina pieczołowicie się nim zajęła, gdy przybył tu prawie pół roku temu. Zażywał podsuwane przez

bratową leki i posłusznie dostosował się do poleceń brata. Od kiedy poczuł się lepiej, nie opuszczała go jednak myśl o wyrwaniu się spod ich opiekuńczych skrzydeł.

– Uważaj na siebie i obiecaj, że nie zrobisz nic głupiego.

– Jeśli na drodze napadną na mnie rozbójnicy, od razu się poddam i oddam im twoje pieniądze. Uwierz mi, Edwardzie, nie szukam przygód.

Doskonale wiedział, jaki będzie następny argument mający go przekonać do rezygnacji z wyjazdu. Nie chciał wysłuchiwać po raz kolejny, że musi dbać o swoje nadwerężone zdrowie.

– Jeśli nie wyruszę teraz, nie dotrę do Buxton przed zmrokiem. Nie zamierzam spędzić nocy na drodze.

Edward już chciał coś powiedzieć, ale tylko przytaknął skinieniem głowy.

– Zatem witaj, przygodo – powiedział Rhys, przepuszczając brata w drzwiach.

– Mam nadzieję, że nie – mruknął Edward.

Rhys uśmiechnął się do siebie, przekonany, że jeszcze nie dojrzał do ustabilizowanego, nudnego stylu życia.

## Rozdział pierwszy

Rhys jednak dotrzymał słowa danego bratu i jechał powoli. Pierwszy dzień spędzony w siodle uświadomił mu, jak dawno nie dosiadał konia. Dotarł do gospody w Buxton wczesnym popołudniem zdecydowany nazajutrz pokonać dłuższy odcinek drogi. Zaproszenie ojca chrzestnego, które Rhys otrzymał kilka tygodni wcześniej, nie dotyczyło konkretnego terminu, a on nie był wówczas na tyle silny, żeby sprecyzować dzień przyjazdu.

Był zadowolony, że mimo bólu mięśni wstał stosunkowo wcześnie i wyruszył w drogę. Z radością wdychał rześkie jesienne powietrze i z przyjemnością patrzył na mijane, nadal zielone wzgórza.

Nagle rozległ się krzyk. Przez łąkę biegła dziewczynka, wołając coś niezrozumiale. Rhys zauważył, że nikt jej nie ściga, ale szybko przekonał się, co przeraziło dziewczynkę. Przed nią biegło jasnowłose dziecko.

Uśmiechnął się, przypominając sobie własne dzieciństwo. Był starszy od uciekającego dziecka. Zazwyczaj przychodziło mu zapłacić za takie eskapady



i ukrywanie się przed nauczycielem, ale uważał, że chwile wolności warte są kary.

Rozejrzał się niespiesznie po terenie, którym biegło dziecko, i uśmiech zniknął z jego twarzy. Ze swojego punktu obserwacyjnego zobaczył, że łagodnie wznosząca się łąka kończy się stromą skarpią. W dole połyskiwał w blasku słońca wezbrany na skutek opadów strumień.

Z pewnością dziewczynka nie widziała, co kryje się za wzniesieniem, i nie miała szans dogonić dziecka, uznał Rys. Spiał konia ostrogami i gniadosz Edwarda ruszył z kopyta. Kiedy dotarli do łąki, Rhys pochylił się nisko nad łbem konia, ponaglając go do szybszego tempa. Poruszali się po przekątnej i Rhys nie spuszczał wzroku z widocznych w oddali jasnych włosów dziecka.

Nieświadome zagrożenia było coraz bliżej stromizny. Rhys słyszał, że dziewczynka wciąż bezskutecznie krzyczy. Przywarł do konia, czując pod sobą jego drgające mięśnie. Był coraz bliżej dziecka zupełnie niezwracającego uwagi na pościg.

Było już blisko krawędzi i Rhys przechylił się w siodle, gotów złapać dziecko w biegu. Nie miał wyboru. Kierując konia równolegle do skraju urwiska, pochylił się jeszcze bardziej i wyciągnął lewą rękę. Nie zważając na ból, gotów był chwycić dziecko za ubranie i unieść je, zanim spadnie. Teraz i on, podobnie jak dziewczynka, zaczął wykrzykiwać ostrzeżenia.

Czuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Wie-

dział, że o bezpieczeństwie dziecka decydują całe. Aby je uratować, musiał chwycić za jasne włosy lub ubranie. Nagle dziecko odwróciło się, przerażone bliskością konia.

W tej jednej krótkiej chwili Rhys wyciągnął rękę, żeby chwycić dziecko za ubranie. Już miał złapać za sukienkę, kiedy mała zrobiła unik i po chwili, ku jego przerażeniu, spadła ze skarpy.

Koń znalazł się tak blisko urwiska, że ziemia zaczęła osuwać się spod jego kopyt. Rhys błyskawicznie zawrócił. Kiedy tylko znaleźli się na twardym gruncie, mocno ściągnął wodze, zatrzymując konia. Zeskoczył i podbiegł do miejsca, gdzie zniknęło dziecko.

Urwisko nie było tak wysokie, jak się obawiał. Rozejrzał się, szukając dogodnego zejścia. Nie było żadnego. Tylko gwałtowny spadek, po którym stoczyła się mała dziewczynka. Spojrzał na płynący dołem głęboki strumień i zobaczył, jak ona znika pod wodą. Bez chwili wahania Rhys skoczył.

Woda była znacznie zimniejsza, niż się spodziewał, choć był dopiero wrzesień. Wynurzył głowę z wody i się rozejrzał. Nie zważając na ból ręki, utrzymywał się na powierzchni, czekając, aż dziewczynka znów się wyłoni.

Kiedy tylko ją zobaczył, rzucił się w tym kierunku. Był dobrym pływakiem, ale miał wrażenie, że porusza się w zwolnionym tempie, jak w koszmarnym śnie. Używał tylko jednej ręki, ciążyły mu też pełne wody buty. Nie było czasu na rozglądanie się.

Zwiększył tempo i zanurkował. Otworzył oczy, próbując zobaczyć coś w zamulonej wodzie i zauważył złote pasma. Pochwycił je i mocno zacisnął na nich dłoń. Zmobilizował resztki sił, żeby wynurzyć się na powierzchnię, ciągnąc za włosy tonące dziecko. Zobaczył prześwitujące przez wodę słońce – obietnicę ratunku.

W końcu wynurzył się i zachłysnął, biorąc oddech. Głowa dziecka też znalazła się nad powierzchnią wody. Byli daleko od brzegu i jeśli oboje mieli przeżyć, Rhys musiał maksymalnie się zmobilizować i odwołać do woli przetrwania. Spojrzał na buzię dziecka. Na pół przezroczyste powieki z siateczką żył zasłaniały oczy. Długie rzęsy leżały niczym wachlarze na bladych policzkach. Sine z zimna wargi były na wpół otwarte, ale dziecko nie oddychało.

Rhys nieraz widział śmierć, ale nie był świadkiem śmierci dziecka. Nie zamierzał do niej dopuścić. Gdyby nie przestraszył małej, może nie wykonałaby tego ostatniego, tragicznego w skutkach kroku. Będzie miał jej śmierć na sumieniu i będzie musiał dźwigać to brzemię do końca swoich dni.

Jedyną szansą na przeżycie – jeśli w ogóle taka była – było dotarcie do brzegu. Zmarznięty i wyczerpany chwycił dziecko niesprawną ręką, obrócił się w wodzie na prawy bok i posługując się zdrowym ramieniem, popłynął w stronę brzegu.

Kilka razy zatrzymywał się, żeby mocniej chwycić małą. W pewnym momencie poruszyła się i lekko zakasłała. Objaw życia dodał mu sił w zmaganiu

się z rwącym nurtem. Był zbyt wyczerpany, żeby uświadomić sobie, co się dzieje, kiedy w końcu dotknął ręką dna. Uniósł głowę i zobaczył, że od brzegu dzieli go niecały jard.

Stanął, czując, jak nogi grzęzną w mule. Trzymał dziecko w obu rękach. Chwiejąc się, zrobił zaledwie kilka kroków i osunął się na kolana. Chciał osłabić upadek, ale lewa ręka ześlizgnęła się po mokrych kamieniach. Prawą ręką trzymał dziecko i nie mógł zamortyzować upadku. Padając, uderzył skronią w kamienie.

Mała wysunęła się z uścisku i leżała teraz obok Rhysa. Otworzyła niebieskie oczy i patrzyła na niego. Ledwie to zauważył, stracił przytomność.

Nadia Argentari obserwowała swoją babcię Magdę przeglądającą towary na przewoźnym straganie wędrownego kupca. Szybkie ruchy zniekształconych wiekiem palców wyrażały wzdargę dla ich jakości, ale wiadomo było, że to część odgrywanego nieodmiennie rytuału. Przedmioty były wybierane, cena za nie ustalana z takim samym brakiem entuzjazmu, jaki babcia okazywała przy ich ocenie.

Nadia widziała to już setki razy i przeniosła wzrok, żeby spojrzeć na senne obozowisko. Anis powinna przyprowadzić Angel już dawno temu. Niemal w tej samej chwili, kiedy ogarnął ją niepokój, zobaczyła jasne włosy córeczki lśniące w promieniach słońca prześwitującego między bukami. Ona

i opiekująca się nią dwunastoletnia dziewczynka szły w stronę obozowiska Romów.

Nadia uniosła rękę, żeby im pomachać. Angel oderwała się od opiekunki i podbiegła do matki. Przytuliła się, ukrywając buzię w matczynej spódnicy. Nadia położyła dłoń na głowie córeczki, gładząc ją po jedwabistych włosach.

– Udał się spacer? – spytała Anis.

Starsza dziewczynka przytaknęła, zerkając na starszą kobietę, wciąż zajętą szukaniem towarów na straganie.

– Muszę teraz pomóc mamie. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu – powiedziała z szacunkiem.

Nadia przywykła do okazywania jej poważania. Argentari należeli do jednej z bardziej znaczących rodzin, a ona była tu najlepszą znachorką. Już chciała wyrazić zgodę, kiedy zachowanie Anis wzbudziło jej podejrzenia. Powrócił niepokój. Nachyliła się, by uważnie spojrzeć na dziecko.

Nie zmartwiły jej ani brudna sukienka, ani potargane włosy. Angeline uwielbiała biegać po łąkach ciągnących się tuż za wielkim lasem. Pewnie mała upadła, uznała Nadia, a Anis bała się, że zostanie obarczona winą za wypadek.

– Coś się stało?

Starsza dziewczynka uniosła opuszczone powieki. Otworzyła usta, ale szybko je zamknęła i przecząco pokręciła głową.

– Dlaczego kłamiesz? – usłyszała Nadia pytanie zadane przez Magdę. Nie miała pojęcia, że przysłu-

chuje się ona rozmowie. Wiedziała, że babcia nie lubi, by przeszkadzano jej w zakupach.

– Myślisz, że kłamie? – zwróciła się do babci, uważnie wpatrując się w twarz Anis.

Dziewczynka zerknęła na jedną i na drugą kobietę, ale odpowiedziała Magdzie, zgodnie z pozycją, jaką starsza kobieta zajmowała w taborze.

– Nic się nie stało, przysięgam.

– Nie spiesz się z przysięgami. Powiedz prawdę, a nikt nie będzie cię winił.

– Nie obiecuj czegoś, czego nie będziesz mogła dotrzymać – ostrzegła Nadia, wyczuwając, że babcia miała rację. Z jakiegoś powodu Anis kłamała. Dopiero teraz, gdy Nadia położyła rękę na ramieniu Angeline, zauważyła, że ubranie dziewczynki jest mokre.

– Dlaczego jest przemoczona?

Anis oblizwała wargi. Znów spojrzała z obawą na Magdę.

– Wpadła do wody.

– Wpadła? – spytała zaskoczona Nadia i pochyliła się nad córeczką, szukając obrażeń. Kiedy uniosła głowę uspokojona, że dziecku nic się nie stało, zobaczyła, że Anis łyzy spływają po policzkach. – Jak doszło do tego, że wpadła?

– Pędziła przez łąkę tak, że nie mogłam jej dogonić. Naprawdę się starałam. Nie pomyślałam o strumieniu. Nie wiedziałam, że pobiegnie tak daleko.

– Spadła ze skarpy?

Po chwili wahania Anis przytaknęła.

Z uczuciem ulgi, że przygoda, która mogła skończyć się tragedią, okazała się tylko niegroźnym wypadkiem, Nadia przytuliła córeczkę, co przypomniało jej o tym, w jakim stanie są ubrania dziewczynki. Musiała zabrać ją do wozu i przebrać w coś suchego.

– I ty ją wyciągnęłaś? – spytała Magda. – Jesteś bardzo dzielna. Chyba powinnam cię wynagrodzić za taką troskę o moją wnuczkę.

Anis pokręciła przecząco głową, jak zahipnotyzowana wpatrując się w twarz starszej kobiety.

– Nie? – zapytała łagodnie Magda. – Nie zasługujesz na nagrodę?

Anis znów pokręciła przecząco głową.

– Pewnie kto inny wyciągnął ją z wody. Czy tak?

Zanim dziewczynka potwierdziła to przypuszczenie, Magda zorientowała się, że trafnie odgadła. Nadia wiedziała, że babcia nie tylko potrafiła przewidywać przyszłość, ale także rozumiała ludzką naturę. Zobaczyła prawdę ukrytą za kłamstwami Anis, jakby czytała w otwartej księdze.

– Kto? – spytała Nadia.

W tym momencie Angelina wzięła matkę za rękę i starała się skłonić ją do pójścia we wskazywanym kierunku. Spojrzenie niebieskich oczu przenosiła z twarzy Nadii na buki, spomiędzy których wyłoniła się grupa dziewczynek. Po chwili wolną ręką wykonała pierwszy gest, jakiego nauczyła ją Nadia, oznaczający niebezpieczeństwo. *Gadziowie*. Ludzie, którzy nie są Romami.

Magda popatrzyła znacząco na Nadię.

– Widziałaś go? Tego *gadzia*? – Nadia zwróciła się do Anis.

Angeline wciąż ciągnęła ją za rękę w stronę lasu.

– Nie chciała go tam samego zostawić – wyjaśniła Anis – ale on był ciężki. Nie mogliśmy go ruszyć.

Do Nadii, która próbowała zrozumieć, co rzeczywiście się stało, w końcu dotarło, że rozmawia z dzieckiem, któremu nierozsądnie powierzyła własną córkę.

– Chcesz powiedzieć, że mężczyzna, który uratował Angel, jest ranny?

– Próbowałam go obudzić, *draparni*. – Dziewczynka otarła łzy z policzków brudnymi rękami. – Zrobiło się późno. Musiałyśmy wracać, bo byłabyś zła.

– Więc zostawiłaś go.

– To *gadzio* – odparła dziewczynka, próbując się bronić. – Poradzi sobie.

– A gdyby on to samo powiedział o Angel?

– *Drabarni*, ona... – Anis nie dokończyła tego, co chciała powiedzieć we własnej obronie.

– Możesz mnie do niego zaprowadzić?

Nadia wcale nie miała ochoty zajmować się tym *gadzio*, jednak bez wątpienia uratował jej córeczkę. Bez względu na to, kim był mężczyzna, jej obowiązkiem było zadbać o jego zdrowie i bezpieczeństwo. Tak stanowiło prawo *kumpanii*, a także jej poczucie sprawiedliwości.



## Rozdział drugi

Zanim dotarli do skarpy, z której spadła Angeline, nastał mrok. Zgodnie z poleceniem Nadii, pojawili się odpowiednio przygotowani mężczyźni *kumpanii*. Wyposażeni w pochodnie, schodzili po stromym zboczu do strumienia. Na górze pozostawili zaprzężony w konia wóz, który miał zabrać żywego czy umarłego *gadzio*. Pod kierunkiem Nadii przeszukiwali brzeg, cicho przekazując sobie polecenia.

Angeline nie chciała zostać w obozie. Płakała i nie dawała się uspokoić dopóty, dopóki Nadia nie ustąpiła. Teraz uczepiona matczynej spódnicy szeroko otwartymi oczami obserwowała poszukiwania. Anis, która miała pokazać miejsce wypadku, stała na uboczu. Najwyraźniej bała się zbliżyć do Nadii, żeby nie spotkała ją kara.

Nadia początkowo była zła na dziewczynkę, ale później zrozumiała, że nie może obarczać winą Anis. To ona jako matka odpowiada za to, komu powierza opiekę nad córeczką. To jej obowiązkiem jest troszczyć się o zdrowie i bezpieczeństwo włas-

nego dziecka, zadbać o to, by nic złego się mu nie przytrafiło. Mogło dojść do tragedii...

– Znaleźliśmy go, *draparni!*

Okrzyk wyrwał Nadię z zadumy. Mocno trzymając Angel za rękę, podbiegła do grupki mężczyzn.

– Żyje? – zapytała, nie kryjąc lęku.

– Jeszcze tak. Gdyby jednak tu został...

Wzruszenie ramion, z którym Andrasz wygłosił tę uwagę, było równie obojętne, jak zdawkowy uśmiech. Zupełnie, jakby powiedział, że nie obchodzi go jakiś *gadzio*, nawet jeśli uratował życie romskiego dziecka.

– Co mamy z nim zrobić? – spytał Nicolaus, kiedy wraz z innymi mężczyznami bez specjalnej uwagi uniósł bezwładne ciało, jakby to był knur, którego zabili w lesie.

– Zabierzcie go do mojego wozu – poleciła Nadia, choć wiedziała, że jej babci to się nie spodoba.

Zaden z mężczyzn nie odważył się okazać zdziwienia. Przecież we własnym wozie zajmowała się Nicolausem, kiedy złamał rękę, i zaszywała ranę od noża na ramieniu Michaela. Tam też trzymała wszystkie leki. Poza tym było to najlepsze miejsce dla ranego *gadzia*.

Kiedy mijali ją mężczyźni, których prowadził niosący dwie pochodnie Panuel, Nadia rzuciła okiem na niesionego przez nich człowieka. Migocące światła wyostrzyły rysy jego twarzy: wystające kości policzkowe, prosty nos i silnie zarysowany podbródek. Przyłapała się na tym, że zastanawia się,

jakiego koloru ma oczy i włosy, teraz zlepione w mokre kosmyki.

Cała grupa zaczęła wspinać się po zboczu i wtedy Nadia poczuła szarpnięcie za spódnicę. Spojrzała na córeczkę – po jej policzkach spływały łzy. Uśmiechnęła się uspokajająco do małej. Po chwili pod wpływem impulsu, nie zważając na okazane przez dziecko nieposłuszeństwo, które doprowadziło do wypadku, ani demonstrowaną złość na wieść, że Angeline zostanie w obozie, Nadia pochyliła się i objęła córeczkę.

– Wszystko w porządku – powiedziała. Przesunęła kciukiem po policzku dziewczynki uspokajającym gestem. – Wyleczymy go.

Z twarzy dziecka zniknął wyraz zaniepokojenia. Popatrzyło w kierunku Anis. Nadia skinęła głową, domyślając się, o co małej chodzi. Angel podbiegła do domorosłej opiekunki i pociągnęła ją za rękę. Dziewczynka się pochyliła i wtedy Angel pogładziła kciukiem policzek Anis, powtarzając gest matki.

Widząc to, Nadia uśmiechnęła się. Cokolwiek trapiło jej córeczkę, najwyraźniej świat znów stał się dla niej przyjazny. Zawdzięczała jej życie mężczyźnie niesionemu teraz w górę zbocza do czekającego wozu. Przysięgła sobie, że bez względu na okoliczności zwróci zaciągnięty u nieznanego dług.

Mężczyźni ułożyli *gadzia* na łóżku stojącym w wozie Nadii i stanęli w wąskim przejściu, czeka-

jąc na dalsze polecenia. Gdyby poprosiła, zdjęliby z niego mokre ubranie, ale widząc dreszcze przesywające ciało nieprzytomnego, uznała, że zrobi to sama.

W jej profesji nie było miejsca na fałszywy wstyd, szczególnie wtedy, gdy zagrożone było czyjeś życie. To była pierwsza zasada, którą wpoila jej babcia uzdrowicielka. Przekazała Nadii rozległą wiedzę na temat leczenia rozmaitych chorób i ratowania ludzkiego życia.

– Dziękuję – powiedziała, nie patrząc na mężczyzn.

– Chcesz, żebyśmy pomogli ci go rozebrać, *drabarni*?

– Nie wiem, jak poważne są jego rany. Powinam najpierw to sprawdzić.

– Jak sobie życzysz, *drabarni*. Zawołaj, jeśli będziemy ci potrzebni.

Poprosiła Anis, żeby zaprowadziła Angeline do Magdy, gdzie mała miała zanocewać. Kiedy mężczyźni odeszli, została sama z Anglikiem. Pochyliła się nad specjalnym blatem, na którym badała pacjentów, umiejętnie przerobionym ze stołu, przy którym pracował jej ojciec.

Thom Argentari był cenionym złotnikiem, nawet w świecie *gadziów*. Kupił ten wóz od wędrownego artysty, żeby mieć bezpieczne lokum na narzędzia, cenne kamienie i szlachetne metale, których używał, wykonując biżuterię. Wraz z jego śmiercią wóz przeszedł na własność Nadii.

Zapaliła lampę i stanęła przy stole, żeby przyjrzeć się rannemu mężczyźnie. Delikatnie odwróciła mu głowę, żeby obejrzyć jego ranę. Wprawdzie przestała krwawić, ale Nadia wiedziała, że często przy ranach głowy gorsze były niewidoczne obrażenia. Opuszkami palców dotknęła skóry wokół rany. Potem zbadala w ten sam sposób całą czaszkę, szukając oznak pęknięcia lub złamania, jak nauczyła ją tego babcia. Po chwili wyprostowała się z uczuciem ulgi, nie znalazła bowiem żadnych oznak naruszenia kości.

Jednak mężczyzna wciąż był nieprzytomny...

Nie mogła tego zrozumieć. Zaczęła więc starannie sprawdzać całe jego ciało. Gdy dokonała obdukcji, stwierdziła, że mężczyzna nie odniósł dodatkowych obrażeń.

Przysiadła na brzegu blatu. Przyglądała się przez chwilę skomplikowanemu węzłowi, którym był związany fular, po czym rozsuptała go i odsunęła koszulę, żeby odsłonić szyję. Sprawdziła tętno i uspokoiła się, czując silny i równy puls. Po chwili przyłożyła dłoń do czoła Anglika. Sprawdziły się jej podejrzenia – było rozpalone. Ponieważ nie znalazła ran, doszła do wniosku, że ta wysoka temperatura to skutek długiego leżenia w lodowatej wodzie.

Poczuła złość na Anis, która pozostawiła rannego mężczyznę samego. Kiedy zabrała się do zdejmowania z niego ubrania, zorientowała się, że nie poradzi sobie sama z dopasowanym surdudem, i przyszło jej do głowy, czy nie wezwać pomocy. Ostatecznie zde-

cydowała, że zrobi to sama. Cierpliwie przecinając nożem szwy, usuwała surdut po kawałku, a potem to samo zrobiła z kamizelką.

Uznała, że luźniejszą koszulę uda jej się zdjąć, rozcinając jedynie szew w głębokim wycięciu na szyi. Potem obracając powoli mężczyznę na bok, zsunęła rękaw koszuli z prawej ręki. Następnie powtórzyła wszystkie czynności i zsunęła lewy rękaw. W pewnym momencie z gardła mężczyzny wydobył się udręczony jęk, przywodzący na myśl ranne zwierzę.

Zaskoczona Nadia spojrzała na nieznanego. Nadal miał zamknięte oczy. Pomyślała, że być może zwichnął ramię, skacząc do wody. Z tym szybko sobie poradzi, ale potrzebna jej będzie pomoc przy jego nastawianiu.

Ułożyła mężczyznę na plecach i zorientowała się, że jęk bólu wywołała rana zadana na długo przed uratowaniem Angeline. Choć przywykła do widoku najrozmaitszych obrażeń, od lat lecząc ludzi z *kumpanii*, to była wstrząśnięta rozległością obrażeń. Czy to możliwe, żeby nadal ruszał tą ręką?

Okrywając go ciepłym pledem, pochyliła się, żeby jeszcze raz spojrzeć na ranę głowy. Miejsce nie było opuchnięte, a strup skutecznie powstrzymał krwawienie. Gdyby mężczyzna był starszy, obawiała się zapalenia płuc. W jego wieku i przy dobrej ogólnej kondycji, wydawało się to mało prawdopodobne.

Wszystko, co mogła zrobić, to uważnie obserwo-